

Przegląd Wileński

TYGODNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY I LITERACKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 7000 mk.

1/2 „ — 3500 „
1/4 „ — 1800 „
1/8 „ — 1000 „

Kompromitacja.

Niezwykłe uroczyste zapowiadana manifestację w Warszawie ex re uchwały Sejmu Wileńskiego, na którą tenże wyruszył in gremio, spotkało na razie nieprzyjemne fiasco. Nie tylko nie doszło do podpisania aktu inkorporacyjnego i związanych z tem obchodów i pochodów, lecz przeciwnie wywołane przez nadmierny „patriotyzm” endeków wileńskich przesilenie ministerjalne w Polsce przybrało charakter poważny i zagrażający dalszemi konsekwencjami, wśród których dymisja naczelnika państwa i spadek marki polskiej nie ostatnie zajmują miejsce.

Jak już niejednokrotnie pisaliśmy, o wiele łatwiej jest uchylać, niż uchwały realizować. Było do przewidzenia, że zagadnienie Wilna o wybitnie międzynarodowym charakterze nie da się rozstrzygnąć jednostronnie, zgodnie wyłącznie z życzeniami nacjonalistów polskich. Nie znamy dokładnie, jakie uwagi rząd polski otrzymał od czynników decydujących obecnie w Europie, niewątpliwie musiały to być ostrzeżenia nader poważne, skoro gabinet p. Ponińskiego wolał podać się do dymisji, niż wziąć na siebie odpowiedzialność za ryzykowny krok wcielenia Wileńszczyzny „bez zastrzeżeń”. Nie jest rzeczą zrozumiałą, co zamierzają uczynić ci politycy warszawscy, którzy aprobowując nieprzejednane stanowisko większości delegacji wileńskiej, doprowadzili do przesilenia ministerjalnego. Wszakże następcy p. Ponińskiego, a przede wszystkim p. Skirmunta będą zmuszeni zająć tę samą pozycję, co ich poprzednicy. Nieprawdopodobnym bowiem wydaje się, żeby zwolennicy bezwzględnej orjentacji koalicyjnej zdecydowali się na dokonanie inkorporacji w tej formie, w jakiej nie uważał za możliwe to uczynić rząd p. Ponińskiego, narażając się na otwarte zerwanie z Ententą, a przede wszystkim z Francją.

Najbliższe dni przyniosą zapewne rozwiązanie tej zagadki. Być może dla zażegnania skandalu wyndzie się jakiś kompromis, nie zatrze on wszakże

wrażenia kompromitacji, które na wstępie spotkało forsowaną *per fas et nefas* decyzję Sejmu Wileńskiego. Zamiast imponującej manifestacji rzekomej jednomyślności ludności wileńskiej, świat cały ujrzał głębokie rozdziewki nawet w łonie przedstawicielstwa sejmowego, które przecież nie reprezentuje, jak to wszystkim wiadomo, nie tylko innych odłamów narodowościowych, ale nawet wszystkich kierunków myśli politycznej polskiej. Zewnętrzny efekt miał ratować wewnętrzne rysy i szpary—i ten zawiódł. Późniejsza łatanina nie uratuje sytuacji, która przybrała obrót o wiele, bardziej fatalny, niż mogli przypuszczać najwięksi sceptycy.

Można się tylko dziwić, że aranżerowie całego tego przedsięwzięcia zawczasu się nie porozumieli i nie ułożyli zgodnego programu. Uniknęło by się wówczas przynajmniej bądź co bądź niepożądanego chyba dla reżyserów i aktorów widowiska.

W tem wszystkim najciekawszym momentem jest zachowanie się Wilna, którego losami żonglują w tej chwili w Warszawie. Sądząc z dotychczasowych nastrojów ludności polskiej, wiadomość o niedojściu do skutku podpisania aktu wcielenia i o ewentualnych na tem tle komplikacjach musiała by wywołać w mieście piorunujące wrażenie, przygnębienie, niepokój czy oburzenie. Nic podobnego. Z wyjątkiem nielicznych grupiek rozpolitykowanych na wiecach dewotek i jeszcze mniej licznych jednostek świadomie biorących udział w życiu politycznym szerokie masy przyjęły niespodziewaną wiadomość z zadziwiającą obojętnością. Wobec wyjazdu do Warszawy najwybitniejszych przywódców nie było nawet zapewne komu się zająć zwołaniem wiecu protestacyjnego lub urządzeniem pochodu z sakramentalną pieśnią: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród”... Bez impulsu zaś zewnętrznego tłum wileński nie jest skłonny do ekspansywnych objawów, żywiołowego zaś poczucia ważności owej „chwili historycznej”, o czem tak dużo się mówiło i pisało, najoczywiej brak mu zupełnie. Jest to najlepszy dowód sztu-

czności rozreklamowanej szeroko rzekomej tęsknoty ludności wileńskiej do swej „macierzy“.

Jakikolwiek będzie dalszy przebieg układów wileńsko-warszawskich, pozostanie na zawsze mocne przeświadczenie, że wola ludności, która miała spowodować uchwałę rozbiorową Sejmu wileńskiego, była tylko dziełem agitacji i że z równym powodzeniem w innych warunkach mogła doprowadzić do wręcz przeciwnej decyzji.

Dominium Baltici maris.

Plutarch mówi o Pompejuszu, że ten miał wyrzec: *Navigare necesse est, vivere non est necesse*. Pozorna absurdalność tego zdania miała być tym ostrym kątem, pod którym wybitny Grek chciał zwrócić umysły swych rodaków na niezmierną doniosłość morza w życiu i rozwoju narodu, a pośrednio — ludzkości. Napis powyższy jest też umieszczony na jednym z domów Bremy. Właśnie znaczenie morza należy do tych kwestyj polityczno-ekonomicznych, które już dawno zostały dostatecznie zrozumiane.

Kraj nasz leży po obu brzegach Wilji i Niemna, *eo ipso* stanowiąc część basenu morza Bałtyckiego. Nasze rzeki rodzime, acz liżą stopy Grodna, Wilna i Kowna, unoszą jednak swe fale do Bałtyku. Im dalej od niego, tem mniejsze znaczenie mają rzeki nasze, przechodząc w mało spławne strumienie. Tylko w części ratują tu złą ich sytuację kanały, łączące np. górny Niemen z systemem wód innych. Barki, wiciny, berlinki, te rzeczne reprezentantki u nas żaglowców, naturalnie swą pierś płócienną wydymają ku zachodowi, a wracają do domu przeciw wodzie tak niechętnie, ciągnięte tylko cierpliwą liną. Po tafli wód chętnie też suną z prądem płyty, uwożąc ku Bałtykowi drogocenny nasz las. Ale jak wszędzie, również i u nas ginie romantyzm komunikacji wodnej przy pomocy żagli, ustępując miejsca parowcom lub jeździe i transportowi kolejaj. Gdy temu lat dwadzieści dosyć często, srodkiem Niemna, latem sunęły, cicho

a majestatycznie, berlinki, o jednym olbrzymim żaglu i potężnym wiośle u steru, dziś obrazek podobny niewątpliwie jest już rzadkością.

Mówiąc tu o naszej wodnej zależności od Bałtyku, nie od rzeczy będzie kilka słów poświęcić handlowi, jaki prowadziły nasze miasta drogą Niemnową (od Kowna) z Królewcem i in. Mamy w tej chwili przed sobą wypisy, poczynione z rachunków, jaki w w. XVIII prowadziło Grodno z Królewcem drogą wodną. Otóż stamtąd sprowadzano sukno wszelkiego rodzaju, sól (nawet ją, mimo tak przecie bogatych pokładów w Galicji!), wina francuskie, śledzie i sery holenderskie, herbatę, cukier, minogi, wyroby żelazne, naczynia, mydła, farby, medykamenty, biżuterję, a nadewszystko ulubiony specjał kuchni naszych pradziadów i babek, korzenie. Rzecz oczywista, że przytem musiano opłacać cła pruskie i w rozrachunku stosować się do innej waluty, (tyńfy saskie, pruskie, szostaki pruskie), wymaganej przez takich królewieckich kupców i firmy, jak np. Friedrich & Adolph Saturgus (wina), Ponschwal (sukna), Jan Burhardt i Daniel Benasch (wyroby żelazne), Touseng (materjały), Johann Gottlich Schachteneier (srebro i złoto), Wierzbicka (korzenie), Johann Christoph Wagner, Friedrich Schlunck, Johann Georg Liebmann i in. Taż drogą Niemnową wożono żyto i sprzedawano w Królewcu u Georga Hogera lub w Tylży. Stąd widać, jak ważną arterją była rzeka dla przywozu wyrobów zagranicy do kraju tak mało uprzemysłowionego, jak ongi W. Ks. Litewskie, i wywozu zbywających w niem produktów rolnych. Niechybnie podobne wnioski nasunęły by się również przy zbadaniu rachunków, dotyczących handlu wilna i Kowna z zachodem w stuleciach minionych. Pogłębione koryta naszych rzek, uporządkowane brzegi itd. dałyby dziś i w przyszłości możność w całej pełni wykorzystać dobrodziejstwo natury, dane ziemi naszej w postaci kilku wodnych wstęp, przerywnających jej rozłogi i pagórki.

Morza, rzeki i jeziora mają jeszcze to do siebie, że ich znaczenie polityczno-ekonomiczne prawie nie ulega zmianom *in minus*, tymczasem kopalnie mogą się wyczerpać, lasy się wyniszczyć, a góry, przedtem niedostępne dla komunikacji, dziś zaś przetrnięte kolejami żelaznymi, stają się przegradą zgoła niedostępną.

Ze wspomnień doktora J. Titiusa.

4)

1880. Główny naczelnik kraju Albedyński, przeniesiony do Warszawy, z żalem wszystkich, co go znali i co go nie znali. W Wilnie jak i tam nazywano go *uczciwym* człowiekiem. Rządy jego mniej napotykały trudności, niż jego poprzednika. Wiele kwestyj Potapow wprowadził na drogę legalną, inne rozstrzygnął, a samowolę wielu obalił bezpowrotnie. Instytut sędziów pokoju urządzony w Wilnie przy Potapowie. Od czasów Litewskiego Statutu, skasowanego przed 1840 r. pierwszy sąd jawny znowu w Wilnie.

Cesarz Aleksander II, będąc w Wilnie w 1879 r. odwiedził rodzinę Albedyńskiego na letnim mieszkaniu w okolicy Wilna — Zwierzyńcu. Był w dobrym humorze i przypomniał, że na wiosnę powiedział Albedyńskiemu w Petersburgu: „Tylko u ciebie można odpocząć“ (to znaczyło, że w Litwie niema

nihilistów). Zajadał mleko kwaśne i grał w karty. Tymczasem zapalono świetną iluminację w mieście. O jedynastej wraca, a widząc schody pałacu cesarskiego zupełnie ciemne i lokajów spotykających go z kandelabrami w ręku, mówi do Albedyńskiego: „Oto jak zahulaliśmy! Już i gaz zgaszono“. Biedny Albedyński tych żartobliwych słów nie słyszał, tak był niespokojny i poruszony. Już wjeżdżając na plac przed pałacem gustownie iluminowany i tak tłumem zadowolony, że pojazd cesarski ledwie wolno mógł się naprzód posuwać, spostrzegł ponurą czarność pałacu cesarskiego wśród morza ognia naokoło. Nazajutrz przypomniał sobie, że i wtedy coś cesarz do niego mówił, ale co? Zostając pod wrażeniem widoku tej nocy zamiast jasności — nie zrozumiał.

Wyjeżdżając około 8-mej do Zwierzyńca kazał o 10-tej oświetlić wnętrze pałacu gazem. Zapalono gaz, lecz ten przed godz. 11 tą nagle odrazu w całym gmachu zgasł, tak że już nie było czasu na oświetlenie go lampami. Rozgniewany Albedyński chciał wysłać Schönfelda (agenta gazowego) do Warszawy, skąd on był rodem, lecz dyrektor zakładu Zimmer-

Ale nie tylko płyną nasze wody krajowe w kierunku do Bałtyku, tamże podążają przechodzące przez Litwę odcinki wielkich kolei żelaznych, jak Libawa—Romny, Ryga—Orzeł, Windawa—Rybinsk, a nawet tę tendencję ujawniają, jak zapewniają rzeczoznawcy, drogi szosowe i inne.

Wszystko to razem wzięte każe nam kraj nasz uważać za jeden kompleks gospodarczy, ściśle związany z Bałtykiem. Swoją drogą Bałtyk wiąże nasze Wilno z Łotwą, Estonją i Finlandją po tej stronie morza i grupą państw skandynawskich po tamtej. Rzec można, Bałtyk opasany jest pierścieniem narodów, z których ducha bije taka teżyzna, świeżość, energia, że doprawdy warto o bliższy kontakt z takimi sąsiadami.

Ongi srogie a długie wojny toczono o panowanie nad Bałtykiem, a zbrojna w ostrogę stopa Szweda, do niedawna prawie, jedyne gospodarza półwyspu skandynawskiego, deptała nasz kraj, dziś rozsiadły dokoła Bałtyku nowopowstałe państwa, od Polski po Finlandję, które winny, w miarę posiadanych wartości materialnych i kulturalnych, wszystkie wziąć pracowity udział w owem *dominium Baltici maris*

Jadźwing.

Polska a Unja kościelna.

Chciaż nasze pismo nie stoi na gruncie wyznaniowym, chętnie udzielamy miejsca poniższym wywodom, pochodzącym ze sfery katolickiej, jako poruszającym zagadnienie doniosłe i mające znaczenie ogólnejsze, wykrażające daleko poza granice spraw czysto kościelnych.

Red.

Mimo powojennego zmaterializowania i zubożenia religijnego, znamieną jest dziś rzeczą częste poruszanie w prasie tematów religijno-kościelnych, wśród których miejsce niepoślednie zajmuje budząca zainteresowanie niemałe sprawa Unji. Nie znaczy to jednak, by zagadnienie zjednoczenia kościołów głębiej było dziś ujmowanem. Ogółowi wystarczają te okrucy wiadomości o niej, jakie pozostały z czasów szkolnych. Nie stać go atoli na to, by kwestja

przezeń omawiana znalazła się w płaszczyźnie właściwej. Racjonalne postawienie unjonizmu wymaga jasnego rozgraniczenia pojęć.

Unja, *jako taka*, nic wspólnego nie ma i mieć nie powinna z jakąkolwiek polityką, a w swej istocie jest jedną z funkcji wielkiego procesu dziejowego, jaki całkując ludzkość, uczyni ją przy końcu świata, według ideologii chrześcijańskiej, *jedną* rodziną religijną z *jednym* ojcem na czele.

Domieszać chociażby tylko szczytę polityki do zamierzeń unjonistycznych, to znaczy odrazu Unję uronić i sprofanować. Lepiej całkiem o niej milczeć, niż ją w ten sposób propagując zdradzać.

Drugim bardzo ważnym warunkiem dla prawidłowego postawienia sprawy, jest niedwuznaczne opowiedzenie się za odrzuceniem raz na zawsze, używanych w przeszłości i dobrych tylko na owe czasy, sposobów tworzenia chrześcijan *en masse*. Przypomnijmy owe masowe w rzekach chrzty Polaków, Rosjan, Litwinów... albo nawracanie na Unję po r. 1596 całemi parafjami! Dziś w religji winno być bezwzględnie wykluczonem posiłkowanie się takimi stadowymi metodami — natomiast uwzględnia się każda indywidualność. Mało w teorji, trzeba też w czynie dać dowód, że polityka i tego rodzaju sposoby przestały zakazać akcję religijną i odeszły już bezpowrotnie do przeszłości.

Dziś jeszcze prawosławni nie wierzą w ten rozbrat nasz z przeszłością. W jak absurdalne formy wylewa się niekiedy ich uprzedzenie świadczy fakt, że niedawno rektor seminarjum prawosławnego w Wilnie, p. Bohdanowicz, zabierając głos w sprawie cerkiewnej, wypowiedział w prasie następujące nedorzeczne zdanie: lepsi katolicy sami byli zawsze przeciwni Unji!

Niech już nam, katolikom, pozwoli czcigodny rektor wiedzieć, co o Unji sądzili lepsi katolicy.

Unja w dobie społecznej za początek swój nie będzie miała koniecznie gremjalnych nawróceń całych parafij, bo tworzyć ją będą z początku tylko jednostki poszczególne, które pośród prawosławnych zechcą osobiście dla siebie kontaktu z kościołem powszechnym, by żyć odtąd życiem pełniejszym, a pośród katolików potrafią umiłowić to wszystko, co, dzięki pierwszemu siedmiu soborom powszech-

mann, rodem z Berlina, objaśnił, że zapas gazu był ogromny, że na wszystkich placach i gmachach palił się aż do rana, lecz przyczyny dlaczego zabrakło go na początku iluminacji w samym pałacu, on Zimmermann, pojąć nie może i nazywa to fatalizmem, że Schönfeld ze zmartwienia zachorował i że on sam ledwo żyje. Albedyński przebaczył domyślając się, że oni potracili głowy podczas puszczania gazu w różne strony miasta.

1867—68. W dzisiejszym (24 kwietnia 1893 r.) numerze „Now. Wremia” czytamy wyjątek z pisma miesięcznego „Russkoje Obozrienije” (z kwietnia)—miesiącniemu „Władimirowa”, „Gen. gub. Albedyński prosił wileńskiego archidiecepiskupa Makarego wynaleźć środki ku utrzymaniu *obraszczonych w prawosławiu*. Na to Makary odrzekł: „Ponieważ *obraszczali w prawosławiu* czynownicy, to niech czynownicy wyszukują środki, aby ich utrzymać”. Rzeczywiście *obraszczeniem* katolików w prawosławiu zajmowali się czynownicy, ale czyn ich był dobry”.

W powiecie Wileńskim *zapisywali* ich zwołanych do różnych miasteczek wojenny naczelnik powiatu

książe *Chowanskij* i pomocnik wileńskiego sprawnika *Mu stafa Jakubowski*, grożąc im za opór Sybirem. Lud odzywał się do strasznego apostoła Mustafy: „Ty sam pierwiej zostań chrześcijaninem, wszak tyś Tatar, a chcesz żebyśmy wiarę zmieniali”. Kiedy w r. 1867 (za jen. gub. Baranowa) cesarz Aleksander II przyjechał do Wilna, ten lud zapisany śpieszył do miasta poskarżyć się przed monarchą, ale przewidując to Mustafa rozstawił na wszystkich traktach i drogach pod miastem strażę, które go do Wilna nie wpuściły. Później po śmierci metropolity Józefa (Siemaszki) w końcu 1863 r., jego następcą Makary wszystkich gwałtem zapisanych, lecz którzy do Komunji Św. ani razu nie przystąpili, wykreślić z ksiąg prawosławnych rozkazał.

Ten Władimirow był członkiem wielkiej komisji w celu zamiany języka polskiego na rosyjski w Kościele. Proponował on tę zamianę skuteczniej bez papieża, inny zaś członek, inspektor gimnazjalny *Kulin* doradzał skasować zupełnie w Litwie katolicyzm za pomocą policji miejskiej i ziemskiej, oraz mirowych pośredników. Jen. gub. Baranow przewidując zabu-

nym, ocalało z chrystjanizmu pierwotnego na wschodzie. Te jednostki z tej i drugiej strony granicy, dzielącej Kościół od Cerkwi, mogą stać się, *Deo favente*, zaczynem przyszłego wielkiego dzieła Unji, które wreszcie kres położy temu, co uczynił najsmutniejszy w dziejach chrześcijaństwa r. 1054.

Tylko po tem określeniu istoty Unji i metod działania, czujemy się logicznie i moralnie uprawnieni przejść do zadań bardziej konkretnych i dać odpowiedź na to, jak się przedstawiają widoki pracy polskiej dla Unji.

Rzecz oczywista, *niema* żadnych przyczyn *zasadniczych*, dla którychby Polacy nie byli zdolni do udziału w pracy unjonistycznej. Polska Skargi i Mickiewicza, Polska Semeneńki, Kalinki i biskupa Łubieńskiego, a dziś arcybiskupa Roppa i o. Urbana, nosi w sobie możliwość pełnienia misji unjonistycznej. Tylko uprzedzenie zaciekle mogłoby kwestjonować jej zdolności pod tym względem. Ale zwróćmy tylko oczy od tej Polski wyżej wymienionej do *rzeczywistości polskiej*, a zrodzi się zaraz w duszy naszej poważne zwątpienie co do zdolności kleru polskiego pracowania przynajmniej dziś i jutro na rzecz Unji.

Stulecie z okładem niewoli pod rządem carskim, stworzyło w duszy polskiej nastrój antyrosyjski, który przekroczył wszelką, rozumem nakreśloną, granicę i wylał się w nienawiść do *wszystkiego*, co rosyjskie. Znamy, rozumie się, wyjątki, ale mówimy tu o ogóle, którego dusza nasiąkała antyrosyjskością. Dodajmy do tego antypatję względem Ukraińców i Białorusinów, a przed nami roztoczy się obraz beznadziejny. Dlatego bardzo szlachetnie, lecz jeszcze więcej ryzykownie wygląda odwaga garstki idealistów Polaków, zgrupowanych dokoła osoby arc. Roppa, a próbujących iść na wschód w celach misyjnych. Jest to rozpaczliwa walka z psychiką polską, bo chociaż sami przodownicy w znacznej chyba mierze przewyżczyli mentalité (termin Ad. Nowaczyńskiego) antyrosyjską, nie można tego powiedzieć o innych współpracownikach.

O jak tragikomicznie wyglądać będzie szykujący się do pracy w Rosji, misjonarz jeśli np. będzie głęboko przekonany o tem, że kultury rosyjskiej właściwie *niema* lub jest nieskończenie niższą od

rosyjskiej, że literatura rosyjska nic a nic nie zawiera pozytywnego, a godnego uwagi, że filozofja rosyjska reprezentowana jest jedynie przez nihilizm i bolszewizm i t. d. i t. d.! Gorzej, jeżeli do tego szablonowego poglądu na rzeczy i braku szacunku dla wszystkiego, co rosyjskie, dołączy się ponadto brak miłości do narodu rosyjskiego. W r. 1830 śpiewano w Warszawie:

„Kto powiedział, że Moskale są to bracia nas,
Lechitów,
„Temu pierwszy w łeb wypalę przed kościołem
Karmelitów“.

W tymże mniej więcej czasie największy poeta rosyjski Puszkina, pisał:

„Nie wieru czesti igroka,
„Lubwi k Rossii polaka“.

Nad zestawieniem powyższem doprawdy warto się zastanowić.

Nawet najbardziej bezstronni i szczerze kochający Rosjan ludzie raz po raz spotykać się będą z ich strony z głęboko zakorzenionem dziś w ich naturze uprzedzeniem i podejrzliwością względem Polaków. Nielada musi być gorliwość i miłość apostołska, by mogła się ostać w tym wypadku! Cóż tu robi przeciętny ksiądz Polak, patrzący na Rosję z typową dla Polaka pogardą? Wielkie pytanie, *czy mu* prawosławni Rosjanie *pozwolą* dziś nawet usta otworzyć! W każdym razie misja jego będzie jałową. Chcielibyśmy, by ktoś mógł zaprzeczyć naszemu pesymistycznemu pogładowi.

Jeśli istotnie zamierzamy iść do Rosji z misją religijną, winniśmy przedewszystkiem poddać dziś rewizji gruntownej *cały* swój stosunek nie tyle do Rosji, ile do rosyjskości. Oto kilka jej punktów: 1) Rosjanina dzisiejszego stworzyły dzieje jego narodu i państwa i nie jest on wcale winien, że jest tem, czem jest; 2) Filozofja rosyjska wydała nie tylko nihilizm i bolszewizm, lecz umiała sięgać najwyższych szczytów idealizmu; 3) Literatura rosyjska nie jest cała, od *a* do *zet*, negatywną i niezdrową w swych tendencjach (Tu warto zapytać, czy objawem zdrowia w literaturze polskiej są *Dzieje grzechu* Żeromskiego, *Kochankowie* Grubińskiego, *Kult ciała* Srokowskiego); 4) Rozdzwięk między polotem ideałów, a okropną rzeczywistością nie jest wcale wy-

rzęcia, komisję tą zamknął i członków jej z prezesem Storożenką oddalił. Stąd ich niezadowolenie. Władimirow mówi: „Odpolszczenie katolicyzmu — to idea jen. gub. Kaufmana, zahamowana przez Potapowa“.

Ten artykuł jego dzisiejszy odmłodził mnie o ćwierć wieku, dawne dzieje i tę kwestję bardzo ważną przypomniał. Oto jak było:

Władimirow (syn popa, który zostawał przy poselstwie rosyjskiem w Londynie i był żonaty z Angielką) w końcu 1865 r. złożył Kaufmanowi memoriał o wprowadzeniu do kościoła całego nabożeństwa, więc i kazania po rosyjsku. Jen. gub. Kaufman pojechał z tym memoriałem do metrop. Siemaszki. Ten nazwał plan Władimirowa szkodliwym i niebezpiecznym dla prawosławia i potępił go. Wtedy Kaufman utworzył wielką komisję, o której wspominałem. Katkow nazwał w swojej gazecie przeciwników Władimirowa zdrajcami. Po upadku Kaufmana przedstawił Władimirow swój memoriał jego następcy hr. Baranowowi. Ten pokazał go cesarzowi, gdy w 1867 r. przejeżdżał przez Wilno. Aleksander II kazał przesłać go do Petersburga, na opinję mini-

strów. Na pierwszym posiedzeniu przeważała opinja za memoriałem, ale gdy na drugie przybył z Wilna już jen. gub. Potapow i z Kijowa jen. gub. ks. Dundukow-Korsakow oraz kanclerz ks. Gorczakow, projekt Władimirowa odrzucono.

1880. W końcu lata pojechałem do Warszawy. Powrotną drogę z Grodna do Wilna odbyłem z nowym jen. gubernatorem hr. *Todlebenem*. Na stacji w Porzeczu, gdzie herbata lub kawa, usiadł obok mnie ten poważny, a w ruchach żwawy i dziarski starzec. Do rozmowy ochoczy zapytał dokąd jęde, a kiedy usłyszał, że do Wilna, rzekł: „No to spotkamy się,... ale Pan mię nie znasz“... — „któż nie zna sławnego bohatera Sewastopola i Plewny“ — była moja odpowiedź.

W kilka tygodni spotkaliśmy się na ulicy (on lubił przechadzać się po mieście), zatrzymał mię i wymawiał i dlaczego go nie odwiedziłem. Więc znajomość zrobiona.

Starzec ten bardzo lubił towarzystwo młodych i dowcipnych Polek. Rozmawiał z niemi i żartował bez końca. Raz u hr. Adamostwa Platerów na świet-

łącznym objawem życia narodu rosyjskiego, bo spotykany też jest gdzie indziej (por. nasz mesjanizm i rzeczywistość dzisiejszą).

Zagadnieniu omawianemu poświęca kilka iście znakomitych artykułów wybijający się coraz bardziej do rządu najwytrawniej redagowanych w Warszawie dzienników, *Kurjer Polski*. Wyrzucając samowolne, nieraz bez pozwolenia władzy duchownej i świeckiej, odbieranie niektórych cerkwi prawosławnych na Wołyniu i w Grodzieńszczyźnie, p. Zm. w art. *Atawistyczne odruchy* („Kur. Pol.“ № 3 z r. b.), bardzo słusznie mówi o częstym braku szerszej myśli katolickiej i instynktu państwowego:

„Książd katolicki jednak, który na czele dwustu koblet z sąsiedniej gminy, szturmując prawosławną cerkiewkę na Litwie, nie tylko tego państwowego instynktu jest pozbawiony. Dowodzi także, że nie ma pojęcia o tem, co się w katolickim, poza jego parafją, dzieje w świecie. Zdobywając kaplicę, spełniać miałem dzieło Boga i Stolicy Apostolskiej miał. Jakże się myli!

Nie wie nieszczęsny fanatyk, że dziś nie tylko w Rzymie, ale wśród katolików francuskich, belgijskich i t. d. i t. d. Polska uważana jest nie za pomost lecz za przeszkodę w połączeniu się kościoła wschodniego z zachodnim, które, jak za dni Possevina jest celem, marzeniem, czasem snem tylko Rzymu. Uważana jest za przeszkodę wskutek tego właśnie, na co my przywykliśmy patrzeć, jako na źródło naszej siły w świecie katolickim, wskutek identyfikowania narodowości z religią.

Biednemu księdzu z Mysich Kiszek wydaje się, że spełnia dzieło narodowe zarazem i katolickiego apostołstwa. W Rzymie powiedzieli mu że jest najgorzej w prawdziwym apostołstwie wschodu zawadą. Mógłby mu to powiedzieć i biskopat polski, który chyba nastroje Kurji zna i wie dobrze, jakie są najgłębsze przy czyny chłodnego jej do Polski stosunków.

Jeśli zaś chodzi o narodową misję naszego kleru na wschodzie, to dobrzeby było gdyby rząd nasz przypominał, komu należy, słowa tak gorliwego katolika, jak Lew Sapieha, skierowane do nazbyt górnego ulickiego arcybiskupa połockiego: Pokuszenie się wasze na to, co spokojności i pożytkowi społeczeństwa jest przeciwnem, sprawiedliwie może być poczytaniem za naruszenie majestatu Rzeczypospolitej. Gdybyśmy się o ważyli na co podobnego w Rzymie, zapewneby was tam nauczylł, ile potrzeba mieć baczności na położenie i zamiary polityczne rządu“.

Pojęcia o tolerancji religijnej w ciągu kilku ostatnich wieków uległy bardzo dużej zmianie.

Uwagi powyższe p. Zm. rozwinął i uzupełnił w art. *Doświadczenie wieków* („Kur. Pol.“ № 43 z r. b.),

nym wieczorze z *tableaux vivants* (na dochód biednych) po wieczerzy bawił grono dam wesołą pogańską aż do 5-tej rano, kiedy żona i córki oddawna po tej zabawie odpoczywały w domu.

Todtleben pokazywał mi pamiątki z wojny Turckiej i mówił: „przyjedź Pan latem do moich Kiejdan, a zobaczysz tam całe muzeum“.

1881. Skończył się karnawał, umilkła opera. Ta była w tym sezonie dobra i piękny śpiew primadonny signory *Caroli* (w zamęczeniu ks. Engalyczew) był siłą przyciągającą. Wielka niespodzianka w Wielkim poście: 1 marca Caroli daje przedstawienie milej operetki Offenbacha „La Pericholle“ na dochód biednych uczniów. Cel i talent cudownie zapełniły salę po brzegi. Biletów zabrakło. Znalazłem się obok szlachetnego administratora kasy studenckiej, Konstantego Balińskiego. W końcu pierwszego aktu rozgniewany gubernator na scenie śpiewa rozkazując ulicznemu śpiewakowi wrzucić do więzienia: „I ottowo i potomu—wiesti jewo priamo w tior'mu“.

W tej chwili powstaje szmer i zamieszanie nie tylko na scenie, ale i w sali teatralnej. Publiczność

napisanym z okazji świeżej zmiany na Stolicy Apostolskiej. Wymujemy stąd ustępy najważniejsze:

Mimochoodem zaznaczaliśmy już nieraz, że w wyobraźni naszego społeczeństwa żyje zawsze obraz Polski jako przedmurza katolicyzmu na wschodzie, jako granicznej jego straży w stosunku do prawosławia. Nie wstawa się przytem w rachubę fak u zupełnie decydującego, że w następstwie rewolucji bolszewickiej prawosławie we właściwym znaczeniu religji państwowej rosyjskiej przestało istnieć. Państwowa organizacja kościoła, stworzona przez Piotra W. leży w gruzach, a kościół wschodni powrócił pod względem organizacyjnym do zamierzchłej już, zdawało się, epoki patriarchyatu moskiewskiego.

Znaczenie tego przewrotu zrozumiano momentalnie w Rzymie i na zachodzie, nie zrozumiano, rzecz dziwna, w bezpośrednim sąsiedztwie Rosji, w Polsce. Tam rozumiano, że odpaństwowienie prawosławia jest zmianą jego istoty, że miejsce królestwa Instrumentu rosyjskiej polityki zajął dawny kościół grecko-orientalny, że wędź dla Rzymu zmienił się sam przedmiot akcji na wschodzie: z propagandy katolickiej stał się znowu zjednoczeniem kościołów.

Nie też dziwnego, że w świecie katolickim Zachodu, który tę rewolucję kościelną na wschodzie rozumiał, objawia się w stosunku do Polski, która jej nie rozumiała dostatecznie, jakby pewna niechęć i zniecierpliwienie, budzące znow u nas zdziwienie i inne, mniej jeszcze pożądane uczucia i odruchy.

W zeszycie „Revue des deux mondes“ z połowy listopada z r. ukazał się artykuł pióra Karola Loiseau, w którym owo zniecierpliwienie wobec Polski odbija się bardzo wyraźnie. Autor, oddając należny hołd wierności Polski dla katolicyzmu, przyznając, że naród nasz wysoko dźwierzł sztandar wiary przeciw islamowi i schyzmie rosyjskiej, podkreśla, że to właśnie nie czyni Polaków skłonny do współdziałania w polityce, zmierzającej do pojednania obu obrządków, zachodniego i wschodniego. W związku z tem podnosi p. Loiseau niechęć Polaków do Rusinów w Galicji, jako ujemny dla sprawy tego pojednania obrządków czynnik polityczny.

Oto jest podłoże, na którym w katolickim świecie, w sposób, dla naszej opinii niemal niepostrzeżony, a w każdym razie niezrozumiały zaczyna się wyrabiać nowy obraz Polski na wschodzie nie Polski jak tarczy katolicyzmu, lecz Polski jako przeszkody w drodze do zrealizowania słowa o jednym pasterzu i jednej owczarni“.

Tymczasem szczątki Unji Brzeskiej zachowały się właśnie w granicach Polski i dlatego Polska nie może pozostać obojętną względem tej sprawy. Ostatnimi czasy nawet endecy zmienili swe pierwotne, niemal wyłącznie negatywne stanowisko i, pod wpływem głosów opinii francuskiej, zaczynają powoli się szykować do pracy... unjonistycznej. *Tableau!* Mimo

podnosi się widząc rzeczywistego gubernatora, stojącego w swej loży na lewo przed sceną i dającego jej jakieś znaki. Aktorowie znikają... orkiestra ucichła, Wtedy gubernator cywilny Steblin-Kamieński wzruszony donośnym głosem mówi powoli: „Po służaju goriestnawo sobytija... konczyny Gosudaria Impieratora... ja spiektakl priekraszczajul“. Zasłona teatralna spada. Cisza grobowa. Wychodząc słyszymy za sobą fatalne słowo jakiegoś Rosjanina: ubił Kochany Baliński odwiózł mię do domu. Byliśmy smutni i przerażeni. Co teraz nas czeka? Jaki zwrot będzie w polityce wewnętrznej? Czego ci zaślepieni szaleńcy od osoby tego monarchy chcieli i czego ze śmiercią jego spodziewali się? O następstwach ich krótkiego tryumfu powie za lat 10... historia lub prędeż. *Dureté de coeur, toujours malheur* — dziś to tylko można powiedzieć.

Hr. Todtleben otrzymał tę wiadomość o godz. 6-tej, wezwał gubernatora, a przypomniawszy, że publiczność bawi się w teatrze, tam go posłał.

to nie przestaje Unja Brzeska wywoływać u Polaków pewnej oskomy, ale kto temu winien, że Polacy przy realizowaniu jej popełnili szereg błędów, z których największym była stara polska połowiczność w działaniu? Tylko dzięki temu Polska miała kłopoty z powodu Unji. „Nie idea Unji oczywiście, lecz jej realizowanie przez Polskę stało się źródłem wielkich nieszczęść dla państwa polskiego“... Małoduszny niechybnie powie: „a więc poco realizować ją?“, rozumny jednak odeprze: „realizowanie błędne, połowiczne wydało gorzkie owoce, ale czy państwu z przyszłością zabraknie odwagi, by racjonalniej i uczciwiej potraktować w przyszłości swe zadanie?“:

Nie! Polska nie jest i nie będzie przeszkodą do połączenia Kościołów — przeciwnie, uczyni wszystko, co jest w jej mocy, by się przyczynić do urzeczywistnienia tego szczytnego ideału..

Wobec jednak nieprzygotowania psychologicznego naszego kleru do tak trudnego dzieła, jak praca dla Unji, winna Polska pamiętać, że nie wolno jej zarozumiale żądać od Stolicy Apostolskiej, by praca unjonistyczna w Rosji była odtąd jej przywilejem i monopolem. Jest to sprawa ogółu katolików. Każdy więc Katolik, Anglik czy Francuz, Niemiec czy Czech, ma równe prawo stanąć do zgodnej pracy na wschodniej rubieży katolicyzmu.

Erka.

Personifikacje społeczne.

Z mitologii antycznej wszystkim nam są znane personifikacje sił natury, z dziejów religii nadto personifikacje pewnych cnót. Ale czy na tem koniec personifikacji w życiu ludzkości? Czy dziś nie mają one wśród nas miejsca?

Natura ludzka zasadniczo nie odmieniła się — pozostała tą samą. Jedną z jej właściwości jest potrzeba w pewnych momentach życia, wylania na zewnątrz, na jakąś określoną osobę, wdzięczności za doznane w tym czasie dobrodziejstwa, a drugą jej pokrewną jest chęć znalezienia kozła ofiarnego, w razie niepowodzenia lub straty. Może nigdzie to nie wyraża się z taką dokładnością, jak właśnie podczas wojny.

Wojna rodzi bohaterów — mówi stare przysłowie rosyjskie. Otóż narodziny bohatera odbywają się właśnie najczęściej podczas wojny, gdyż sprzyjają temu okoliczności czasu wojennego. Przysłowie powyższe istotnie miało rację ongiś, gdy na placu boju dokonywał się pośród walczących zrozumiały dobór naturalny. Męstwo osobiste, zdolność ogarnięcia całokształtu zapasów wojennych, odważne dźwiganie odpowiedzialności za nie i waleczność kładły stygmat bohaterstwa na czole szczęśliwych wybrańców Marsa, przekazując ich czyny i imiona pamięci potomnych. Leonidas, Temistokles, Aleksander Macedoński, Hannibal, Cezar i ten czarodziej sztuki wojennej, Napoleon, byli prawdziwymi dziećmi wojny i nosicielami w niej pierwiastku bohaterskiego. Na Napoleonie jednak jakby się urwał ten ród bohaterski, bo odtąd widzimy albo skarłate jego okazy, albo krzyżowanie się Marsa z Merkurym (wojna handlowa), z Minerwą (wojna dyplomatyczna), z Wulkanem (wojna przemysłowa), z Plutonem (wojna finan-

sowa) i t. d., wydające z natury rzeczy już typy mieszane.

Ale wojna nie tylko rodzi bohaterów, w równej mierze bywa ona matką kozłów ofiarnych winowajców i t. d. Gdy bohater się rodzi z wojny szczęśliwej a zwycięskiej, winowajca z wojny nieszczęśliwej i przegranej. W jednym i drugim wypadku lud chce jednakowo widzieć tam bohatera, tu winowajcę. Jednemu trjumpf urządzi, drugiemu stryczkiem zagrozi — w obu wypadkach działając najczęściej ślepo. Legenda ozłoci pamięć bohatera, oczerni pamięć wodza niefortunnego. Trudne nadzwyczaj zadanie dla potomnych określić, ile prawdy i zasługi w bohaterstwie i ile winy w porażce. Niepostrzeżenie bowiem dla siebie jużemy znaleźli się w toku procesu owej personifikacji.

Szczególnie uwydatniła się ona czasu wojny minionej, kiedy, wobec wścieklej siły dział, męstwo osobiste ustąpiło miejsca umiejętności krycia się pod betonem lub żelazem od huraganu pocisków i deszczu kul. Ilość ludzi, rozległość terenu i różnorodność formacji wojskowych zmusiły do podziału funkcji wodza, uniemożliwiając jednemu dokładniejsze ogarnięcie całokształtu i przyjmowanie wyłącznej odpowiedzialności. Tak powstała niejako fikcja wodza zbiorowego — osoby moralnej, zamiast dowództwa w ręku jednej osoby. Waleczność jednostki mogła co najwyżej dostąpić nagrody orderem wojennym I klasy, bohaterstwo zaś takie, jakie było ongiś, mogło być dzisiaj tylko przedmiotem marzeń i snów nigdy nieziszczalnych. Zczepił romantyzm dawnej wojny. Wpływ jednostki pomniejszył się na rzecz wpływu masy.

Tą samą jednak została natura ludzka, pragnąca mieć kogoś do uczczenia za zwycięstwa odniesione. Właśnie ten popyt na bohaterów, na bożyszcza tłumu, stwarza w Niemczech np. takiego Hindenburga. Dymisjonowany generał, otyły i ciężki oficer, zostaje, podczas mobilizacji sierpniowej 1914, powołany do służby czynnej w armii niemieckiej. Na początku niczem się nie odznacza, lekceważy go Wilhelm II. Potem korzystając z przewagi gatunkowej żołnierza niemieckiego, poczyna bić on Moskala, zawleczonęgo taktyką cofania się Niemców aż pod Królewiec niemal. Niemcy biją się *pro aris et focis* i oczywiście zwyciężają, a Moskal, mający marne dowództwo, nie wie nawet dróg odwrotu z tego obcego dlań kraju. Tu u jezior Mazurskich ponosi armja rosyjska porażkę haniebną, cofa się w bezładzie i opuszcza wrzście Prusy. Nie mając czem się pochwalić na froncie zachodnim, Niemcy otrąbiają wielkość zwycięstwa i Hindenburg urasta, jak na drożdżach, do postaci legendarnej. Place i ulice otrzymują jako nazwę jego nazwisko, magistraty i uniwersytety szlą mu dyplomy honorowe, Niemki zamiast *O Tanenberg!* *O Tanenberg!* wygrywają i śpiewają: *O Hindenburg!* *O Hindenburg!* *Wie schön sind deine Siege!* Stawia mu pomniki i nabijają ćwiekami patryjotycznymi. Złośliwi nazwali tę psychozę *hindenburgitis*. Ale przyszedł oto listopad 1918 i — zaczynają pomniki Hindenburga rozbierać, wstydliwie milkną pieśni ku czci jego... Hindenburg może króluje jeszcze w salonach junkrów i monarchistów, ale nie w Niemczech. Profesor uniwersytetu w Berlinie, Hans Dellbrück piszący obecnie dzieje wojny, mówi na podstawie faktów, że Hindenburg, owo bożyszcze Niemców, *nie wiedział* nawet, gdzie się znajdowały poszczególne korpusy wojska — tak mało dbał o dokładne informowanie starzejącego się głównodowodzącego

spiritus movens generalnego sztabu, Ludendorf. — A jak wygląda tak sławiona wielkość tego ostatniego? Tenże Dellbrück pisze: „Ludendorf nie posiadał wystarczającej potęgi umysłu do rozwiązywania wielkich strategicznych zadań“. A jako człowiek, był to „obłędem nawiedzony kadet“. Tak wyglądają zbliżka dwa donledawna największe bożyszczą Niemiec! Oczywiście *tylko* dzięki personifikacji podczas wojny udało się im stać się rozgłośnymi ponad miarę. Było to potrzebne do utrzymania w stanie rozpalonym patriotyzmu i animuszu do dalszych walk, wciąż nowych *kriegsanleihe* i znoszenia srogich prywacyj żywnościowych.

Rozreklamowany Foch niewątpliwie jest zdolnym generałem, ale również personifikacją. Tak gorąco wyczekujący rewanzu, Francuzi *musieli* stworzyć sobie Focha, chociaż lwia część wpływu na przechylenie na korzyść Ententy szali wypadków wojennych najpewniej wywarła została przez udział Ameryki. Mają Włosi swego Diaza, upostaciowanie włoskiego genjuszu wojennego podczas wojny ostatniej. Jak im było pilno o stworzenie legendarnego zwycięstwa, chociażby w ostatniem stadium wojny, świadczy fakt, że gdy żołnierz austriacki, utraciwszy nadzieję zwycięstwa, sam w bezładzie cofnął się z nad Piave, dowódca wojsk włoskich z całym impetem rzucił się na uciekających i odniósł nad nimi *bezprzykładne (sic) w dziejach świata zwycięstwo (!)* Dziś ten „pogromca“ Austriaków nosi jakiś tytuł, nadany mu przez króla Włoch. Tak się tworzy bohaterów.

Polacy napewno więcej od innych narodów ulegają tej potrzebie tworzenia bohaterów lub wyszukiwania kozłów ofiarnych. Jednak zbyt są nam znane te personifikacje polskie, byśmy chcieli o nich tu mówić.

Latovicus.

MASONERJA.

Pospolicie przyjęto uważać masonerję za doktrynę, wiedzę, wyznanie lub nawet religję, jednak daleko więcej jej istocie odpowiada nazwa *sztuki*, w znaczeniu umiejętności. Często tedy nazywa się ona *sztuką królewską* lub też *drogą królewską*, bo swym członkom, w myśl Platona, umożliwia dojsć do wolnego rozwoju sił ich duszy lub, co na jedno wychodzi, do udoskonalenia swej istoty. Słowem masonerja — *der Weg und die Kunst der Humanität*. Wsuwając zasadę wolności, masonerja zupełnie docenia też znaczenie łączności, a proklamując ludzkość, wszystkie wielkie loże buduje *durchweg* na bazie narodowej. Masoni bynajmniej nie zaprzeczają tajemniczości, jaka zwykła okrywać ich instytucję, ani dyskrecji wymaganej od członków. Zresztą czy nie mają tajemnic, sekretów itd., organizacje religijne, państwowe, narodowe, przemysłowe?! Początki swe masonerja chętnie wyprowadza ze świata anycznego, powołując się już na Cycerona, który mówi o istnieniu towarzystw (*sodalitates*), uprawiających kult *Magnae Matris* i urządzających zebrania, jakie nosiły nazwy: *convivationes, comotationes, concoenationes* (symposia)...

Kamieniem węgielnym masonerji jest teza: *Alle Dinge sind eins in All und dieses eine ist ganz in allen Dingen*. Stąd począwszy, rozbudowywała się powoli doktryna masońska. W liczbie praktycznych, któremi masoni chcą się posługiwać, jest też *praw-*

dziwa miłość chrześcijańska. Termin ten nieraz spotyka się w znakomitych pracach L. Kellera, poświęconych masonerji. Pewien rys arystokratyczny tkwi w instytucie masońskim, który uważa, że mądrość, *skoro się objawi, zostaje przez tłum uszkodzona lub zniszczona*. Termin *zakonu*, jako nazwy dla siebie, masonerja odrzuca, natomiast posługuje się *towarzystwem*.

Wbrew prawie ogólnemu przeświadczeniu, masonerja kwestjonuje prawo przeciwstawiania jej chrześcijaństwa, a to dla dwóch przyczyn: raz, że konserwuje prawdziwą miłość chrześcijańską pierwotnego kościoła, odrzucając nienawiść, powtóre, że stamtąd zapożycza ideę wolnego uspołecznienia i związane z nią zasady tolerancji. Nietylko masoni zaprzeczają, jakoby ateizm miał być koniecznym atrybutem ich nauki, lecz nawet się uskarżają, że ze strony światopoglądu ateistyczno-naturalistycznego lub materialistyczno-socjalistycznego często są nie mniej zwalczani, niż przez wyznawców religii objawionej. W życiu społecznem masoni kładą duży nacisk na pielęgnowanie przyjaźni; walczą też z bojaźnią śmierci i pesymistyczną pogardą życia. W tem upatrują pierwiastki chrześcijaństwa janowego (*das Johanneische Christentum*).

Wąskie ramy tego artykułu informacyjnego nie pozwalają mi na szersze omówienie dość zawilej historii masonerji, chcę jednak zwrócić uwagę na bardzo często popełniany przez przeciwników i wrogów masonerji błąd, jakoby jej żywot był nieprzerwanem pasmem triumfów. Tymczasem historją w XVIII ma całe karty zapisane dziejami prześladowania masonerji i jej członków, aż do zesłania na galery i kary śmierci za urządzanie zebrań włącznie. Od tych represyj nie uchroniło patriotyczne, ogólnie biorąc, stanowisko masonerji, która umie swe ogólnie ludzkie nastawienie łączyć z należną miłością dla ojczyzny. Naogół zasadę masońską jest nie *divide et impera*, lecz *łączyć i kierować!*

Wielkie pytanie, czy tak liczni przeciwnicy masonerji mają o niej choć w przybliżeniu wierne pojęcie: tyle legło pomiędzy obydwojma obozami wszelakiego rodzaju fałszów, kłamstw, uprzedzeń, insynuacyj, podejrzeń!.. Weźmy chociażby rozgłosną ze swego rzekomego, jak się okazało później, nawrócenia pańmiętnikarkę miss Dianę Vaughan, której szantaż został nawet przez wrogię masonerji dr. Juliusza Bachema nazwany *die verwegenste Mistifikation des 19 Jahrhunderts*. Również szantażystami, spekulującymi na łatwowierność niektórych sfer katolickich, okazali się tacy *Leo Taxil*, Margiotta i dr. Bataille-Hock i in. *dii minorum gentium*. Być może przeciwnikom masonerji wyda się zbyt śmiałem to, co o niej powiem, ale kult szatana (palladyzm) z nią nic niema wspólnego!

W ten i podobny sposób wyrobiono masonerji opinię bezwzględnego wroga religji, „państwa w państwie“, źródła agitacji rewolucyjnej i t. d. A właściwie jest ona nawet nie tajemnym towarzystwem, lecz tylko zamkniętem, jak np. rodziny, rody, zakony katolickie, nie wyłączając stowarzyszeń zawodowych.

Znaczne różnice dzieje masonerję w poszczególnych krajach. Wśród narodów rasy anglo-saskiej jest ona mniej radykalną, w krajach romańskich zbyt się oddaje działalności politycznej i nieraz jest mało wybredną w środkach walki, czem wyrządza niekiedy szkodę dobremu imieniu towarzystwa, natomiast w krajach germańskich na czoło zadań jego wysuwa się praca w kierunku kulturalno-narodowym.

Rzeczą wiadomą jest ten rozdzwięk, jaki czasu wojny wszechświatowej powstał między masonerją państw centralnych a takąż w obozie ententy.

Chociaż uniwersytety i przedstawiciele nauki często zarzucają masonom przestarzałość i bezwartościowość ich symbolów i obrzędów, ale inaczej o tem myślą masoni, dla których ta symbolika jest potrzebą tak rozumu, jak serca.

Literatura masońska ostatnimi czasy znacznie urosła. Stale z roku na rok ukazują się masońskie kalendarze, biuletyny i t. d. Z kalendarza, wydanego w Lipsku przez Dalema w r. 1913, podajemy przybliżoną statystykę, dziś chyba już prześcigniętą.

Według niej:

Europa	liczy	6100	łóż	z	384,000	czł.
Afryka	"	28	"	"	750	"
Ameryka Półn.	"	15000	"	"	1,500,000	"
Ameryka Środk.	"	213	"	"	10,500	"
Ameryka Połudn.	"	719	"	"	63,000	"
Australja	"	830	"	"	50,000	"
Inne kraje	"	100	"	"	10,000	"

23000 łóż z przeszło 2,000,000 czł.

Istnieje *Freimaurerische Weltgeschäftsstelle* i w toku są prace nad stworzeniem języka międzynarodowego, co się wyraża w popieraniu tymczasem *esperanto*.

Historja masonerji w Litwie i w szczególności Wilnie, opracowana należycie stanowiłaby bezwarunkowo ciekawą kartę w dziejach umysłowości u nas w w. XVIII i w pierwszej połowie XIX. Życzyć należy, by kryjące się po naszych archiwach i bibliotekach odnośne materiały rychło poszły na biurko sumiennego badacza przeszłości kraju.

* * *

„Osteuropa - Institut in Breslau“.

W r. 1918 we Wrocławiu, będącym strażnicą kultury niemieckiej na wschodzie, powstało pod nazwą powyższą towarzystwo, będące instytucją samodzielną, mimo dość bliskiego spółdziałania z tamczynym uniwersytetem Fryderyka-Wilhelma i Technische Hochschule. Dla wielu bardzo powodów, Rosja i wschód Europy skupiały oddawna uwagę Niemców. Dwa z nich są najważniejsze: raz, że Niemiec ma coś z natury Fausta i jest naogół zbyt *wissensbegierig*, by kraj tak ciekawy i tyłu możliwości pełen, jak Rosja, mógł być dla jego badawczego umysłu obojętny, powtóre, całkiem trafne, stwierdzone podczas nieszczęśliwej wojny, przekonanie, że Niemcom terenów ekspansji trzeba będzie szukać na wschodzie. Te przesłanki stanowią genezę omawianego tu *Forschungsanstalt'u*, którego cel ściślej sprecyzowany został w § 1 statutu. W nim jest mowa o studjowaniu podstaw i możliwości rozwoju życia umysłowego i gospodarczego na wschodzie europejskim oraz przyległych doń terenach, jak również o użytkowaniu wyników zdobytych, dla nauczania uniwersyteckiego, zarządu i praktyki gospodarczej. Specjalnie statut wyklucza wszelką partyjność bądź gospodarczą, bądź polityczną i religijną.

Działalność wydawnicza młodej instytucji polega na drukowaniu większych prac naukowych in *zwangloser Folge* pod tytułem *Quellen und Studien*,

które rozpadają się na kilka działów: 1) Prawo i gospodarstwo. 2) Agronomja i leśnictwo. 3) Górnictwo i metalurgja. 4) Geografja i krajoznawstwo. 5) Religjoznawstwo. 6) Językoznawstwo. 7) Przemysł i handel. Mniejsze prace naukowe ukazywać się będą jako *Vorträge und Aufsätze*, wreszcie co rok — zestawienie literatury, dotyczącej wschodu Europy, p. t. *Osteuropäische Bibliographie*. Drukuje te wszystkie rzeczy zaszczytnie znana tłocznia B. G. Teubnera (Lipsk & Berlin).

Ze zwykłą sprężystością założyciele *Osteuropa-Institut'u* potrafili powyższe zamierzenia rychło wcielić w czyn i w ciągu tych kilku lat od r. 1918 wyszedł już cały szereg prac odnośnych o wysokiej wartości naukowej. W serji *Quellen und Studien* ukazały się z zakresu *Prawa i gospodarstwa* następujące dzieła: 1. „Życie gospodarcze Rosji pod panowaniem bolszewików“ przez d-ra Wład. W. Kaplun-Kogana (daje dokładny obraz naprzód całokształtu jego, potem działów poszczególnych, jak stan transportów, podatków, żywnościowy, zdrowotny i t. d.). 2. „Prawodawstwo bolszewików“ przez radcę sprawiedliwości H. Klibanskiego (skrzętne zestawienie chaotycznego prawodawstwa bolszewików). 3. „Rolna reforma Stołypina i wspólność pól“ przez d-ra C. Dietze (omawia doniosłość reformy i jej wpływ na gospodarke ludową). 4. „Rozwój rosyjskiego robotnika fabrycznego do pierwszej rewolucji (1905 r.)“ przez prof. d-ra O. Goebela (jest to plan obserwacji, zebranych przez autora podczas pobytu w Rosji, gdzie pracował na fabrykach, i jednocześnie przyczynek do zrozumienia wypadków, które przygotowały już w r. 1905 grunt dla bolszewizmu), 5. „Rosyjski robotnik fabryczny od r. 1905 do 1917“ przez d-ra S. Köhlera (autor między innymi wykazuje, że robotnik fabryczny na zachodzie powstał z podupadłego rękodzielnika, robotnik zaś rosyjski z uciekającego ze wsi do miasta włościanina).

Dział p. t. *Górnictwo i metalurgja* posiada już takie prace: 1. „Gospodarcze znaczenie przemysłu górniczego Rosji i Polski i ich wzajemny stosunek z Niemcami“ przez prywatdocenta d-ra K. Flegela (dowodzi, jak przemysł tych trzech krajów wzajemnie siebie uzupełnia, tworząc wyższą jednostkę gospodarczą). 2. „Wstęp do geologii Europy Wschodniej“ przez prof. d-ra G. Cloosa i d-ra E. Meistersera (odkrywa szerokie perspektywy na wyzyskanie nie-*tkniętych* jeszcze bogactw ziemi rosyjskiej). 3. „Pokłady miedzi i siarki w Europie Wschodniej“ przez d-ra F. Behrenda (podnosi znaczenie tych minerałów dla przemysłu niemieckiego). 4. „Źródła naftowe europejskiej Rosji“ przez d-ra L. Mühlera (omawia tu również takie źródła nad Bałtykiem).

Dział p. t. *Religjoznawstwo* posiada dwa dzieła: 1. „Kościół grecko-katolicki w Galicji“ przez d-ra A. Korczoka (z przedmową prof. d-ra Haasego: *Zadania wschodnio-europejskiego religjoznawstwa*). Dzieło to daje dokładny pogląd na rozwój i odrębność stosunków religijnych Galicji. 2. „Religijna psychologia narodu rosyjskiego“ przez prof. d-ra F. Haasego. Jest to cenne dzieło, napisane na podstawie źródeł rosyjskich i osobistej obserwacji, a wiernie charakteryzujące Cerkiew rosyjską, wiarę i pobożność różnych stanów społeczeństwa. Również wyczerpująco omówionem jest tu stanowisko bolszewizmu względem religii i Cerkwi.

Dział p. t. *Językoznawstwo* tymczasem reprezentowany jest pracą prof. d-ra H. Winklera „Grupa altajskich narodów i języków“ (cenny przyczynek do

literatury filologicznej). Wreszcie dział p. t. *Przemysł i handel* liczy dwa dzieła: 1. „Port handlowy Odesa” przez d-ra O. Friebela (bada przyczyny upadku gospodarczego Odesy i stosunki transportowe Rosji Południowej). 2. „Syberja i jej przyszłość gospodarcza” przez prof. d-ra P. W. Dankwortta (na podstawie długoletniego pobytu w Syberji i nadzwyczaj rzadkich źródeł, daje opis przeszłości i rzut oka w przyszłość).

Oto dorobek wydawniczy za kilka lat istnienia *Osteuropa-Institut'u* we Wrocławiu.

Wł. T.

Z mego notatnika.

„Sama siebie oćwiczyła”.

Któż nie zna z Gogola humorystycznego tłómaczenia się policmajstra, ze kobieta, skarżąca się na postępowanie policji, „sama siebie oćwiczyła”?

Czasami jednakże się zdarza, że najnieprawdopodobniejsze pomysły literackie znajdują urzeczywistnienie w życiu. Taki czyn egzekucji nad samym sobą popełniła niedawno „Gazeta Krajowa”.

W numerze jej z dn. 26 lutego zamieszczony został artykuł wstępny p. t.: „Zaciemnianie zasady”, w którym autor, występujący pod pseudonimem Civisa poddaje ostrej krytyce uchwałę inkorporacyjną Sejmu Wileńskiego, nie szczędząc przytem słów surowej nagany lewicy za zejście jej ze stanowiska federalnego.

„Stronictwa zgrupowane dotychczas w Biurze Prac Politycznych — czytamy tam — z uległością dały się wziąć na lep tanich hasel, poddały się nastrojom i poszły „po linii najmniejszego oporu”.

Czy można wystawić większe *testimonium paupertatis* ugrupowaniom politycznym, posiadającym swoje programy i swoich przywódców, co ich właśnie odróżnia od niezorganizowanego tłumu, poddającego się nastrojom i podatnego na wszelakiego rodzaju tanie hasła?

Powyższy pogląd krytyczny na naszych „federalistów” był by najzupełniej zrozumiały i naturalny, gdyby się ukazał na łamach organu któregoś z ich przeciwników. Ale w „Gazecie Krajowej”? Bez wszelkich komentarzy i zastrzeżeń? Dziwny akt skruchy i samoponiżenia!...

Manja prześladowcza.

Od czasu do czasu w wileńskiej prasie polskiej prócz stałych pogrózek, lub jeremjad na temat niebezpieczeństw wewnętrznych litewskiego, białoruskiego i żydowskiego ukazują się straszak — rosyjski. Wywołują go zwykle jakiś afisz w języku rosyjskim, lub obsadzenie jakiejś posady rządowej przez Rosjanina.

Na tem tle, między innymi powstała kampanja przeciwko p. Landsbergowi, prezesowi dyrekcji kolejowej wileńskiej, przyczem endecja znalazła się w kłopotliwym położeniu. Z jednej strony przeciwko p. prezesowi wysunięto zarzut rusyfikowania, więc patrijotyzm każe potępiać go i zwalczać, z drugiej jednak strony p. Landsberg znany jest ze swych reakcyjnych poglądów społecznych — więc wypada go popierać i bronić, sytuacja więc trudna, — niemniej przy tej sposobności zaczęto nicować metryki i pasporty wybitniejszych urzędników kolejowych.

Ten ma nazwisko rosyjskie, tamten jest prawosławny, inny znów podobno jest urodzony nad Wołgą! Zupełnie jak za dawnych czasów, tylko vice versa. Pamiętamy przecież wszyscy doskonale, jakie uczucie wstętu i politowania budziły w nas owe słynne drobiazgowo badania aspirantów do posad rządowych, azali nie należą oni do kategorii niebezpiecznej „lic polskawo proischożdienija”? „A w katolik? wasza mat' Pólka”? — to wystarczało, by kandydata odprawiano z kwitkiem. A teraz te same metody i praktyki w stosunku do „osób pochodzenia rosyjskiego“! Doprawdy bierze chętką ordynarnie splunąć na całe to współczesne plugastwo!

I gdybyż pismacy z „Rzeczypospolitej“ i t. p. organów wymyślili coś nowego, wystąpili z oryginalnym pomysłem! Nawet na to zdobyć się nie mogą. Małpowanie Gringmuthów i Szmidtów — oto na co stać jedynie naszych Obstw.

Ewolucja.

Wpadł mi jakoś temi czasy numer „Okrain Rossii“ z r. 1909 z korespondencją z Wilna, gdzie autor z nieskrywanem oburzeniem pisze: „Polacy z uporem nie przestają używać terminu „Litwa i Ruś“ dla oznaczenia naszych północno-zachodnich i południowo-zachodnich gubernij“. Jeżeli autor ten jeszcze żyje i ma możność obserwowania tego, co się u nas teraz dzieje i pisze, to zapewne z głęboką satysfakcją stwierdza zmianę w irytującej go przed kilkunastu laty nomenklaturze.

Oficjalny bowiem tytuł „Ziemi Wileńskiej“, który zastąpił dziwaczną nieco nazwę „Litwy Środkowej“, jest tylko trawestacją niefortunną dawnej „gubernji Wileńskiej“. Pomijając już, że wogóle termin „ziemia“ jest pomyślany dość nieszczęśliwie i nie ma żadnych podstaw historycznych, bądź co bądź używany jest on dla oznaczenia dawnych gubernij rosyjskich. Słyszymy więc często o ziemi Wileńskiej, o ziemi Kowieńskiej, o ziemi Mińskiej etc. W razie jakichś pomyślnych konjunktur nic łatwiejszego będzie, jak zastąpienie z powrotem ziemi przez gubernję, i wszystko wróci do dawnego stanu...

Tembardziej, że i termin „Kresy Wschodnie“ z łatwością daje się przerobić na „Kresy Zachodnie“ czyli „Zapadnyja Okrainy“. Wszystko zależy z której strony na nie patrzeć. A jak tak dalej pójdzie i nastroje obecne potrwają dłużej, to istotnie terminy „Litwa i Ruś“, świadczące o odrębności naszego kraju, zanikną zupełnie w świadomości społeczeństwa i może kiedyś tam, po latach przyszły korespondent z Wilna do pism petersburskich czy moskiewskich nie będzie miał powodu do narzekania i oburzania się...

Epigoni.

Od jednego z naszych czytelników, zamieszkałego w b. Kongresówce, otrzymaliśmy list, z którego ustęp pozwolę sobie przytoczyć poniżej:

„Urodziłem się i żyję w Polsce przeszło pół wieku, w Polsce urodził się i umarł ojciec mój, żaden z nas nigdy w Litwie nie był, jestem Polakiem i Polskę kocham. Lecz z Litwy pochodził dziad mój i od niego wzięłem przywiązanie do tego kraju. I dlatego tak samo jak Polskę kocham i Litwę, jako ziemię praocjów moich, jako ziemię, która przez 400 lat pracą najlepszych swych synów oddawała dla sprawy polskiej. I dlatego, nie widząc nigdy Litwy, nauczyłem się po litewsku czytać, ażeby rozumieć ducha narodu, współczuć jego dążeniu ku

światłu i jego walce z przemocą moskiewską. I dlatego gdy czytam i słyszę, co się dzieje teraz w Wilnie, prastarej stolicy litewskiej, ból i wstręt mnie przejmują, a wstyd pali czoło, bo to jest zaprzeczeniem najpiękniejszej tradycji polskiej, zaprzeczeniem kardynalnych zasad wiary chrześcijańskiej, kopaniem przepaści między Polską a Litwą na powtórny zgubę obu krajów ku radości naszych wspólnych wrogów oraz kompromitację imienia Polski wobec historii“.

Czyż trzeba dodawać, jaką moralną otuchą są dla redakcji tego rodzaju wyznania wiary? Smutno tylko, że tak czują i myślą ludzie, którzy „żyją już przeszło pół wieku“. Są to niestety epigoni dawnego romantyzmu. Dzisiejsze pokolenie, a zwłaszcza podрастаjące, wychowane na zasadach egoizmu narodowego i kultu siły, sądzi inaczej i innym hołduje poglądom.

Przeszłość i przyszłość mało je obchodzą, żyje tylko dniem dzisiejszym i

„Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy“.

Licz.

Bez steru.

Pod tym tytułem „Głos Wołyński“ zamieszcza krytyczne uwagi nad obecnym stosunkiem rządu polskiego do t. zw. Kresów Wschodnich, w szczególności Wołynia. Cechą główną polityki rządowej w tym względzie jest zupełna bezprogramowość.

Niektóre ministerstwa, a raczej niektórzy kierownicy oddzielnych ministerstw, posiadają swoje własne programy kresowe, które skwapliwie nieraz i bez liczenia się z całokształtem interesów państwowych na kresach starają się przeprowadzać podczas swojego, za zwyczaj krótkotrwałego urzędowania, — jednolitego jednak i uzgodnionego w swoim tonie programu politycznego, przystosowanego do warunków lokalnych każdego z krajów kresowych, nasz Gabinet Ministrów dotychczas nie posiada.

Wynikające z tej bezprogramowości Rządu zło powiększa jeszcze ten szczegół, że prawie każdy z partyjnych ministerjalnych kierowników danego resortu podczas swojego zarządzania sprawami powierzono mu ministerstwa mianuje ludzi swej partji na wszelkie wakuujące stanowiska i stara się zrobić jaknajwięcej dla swojej partji, wskutek czego po parokrotnych zmianach w kierowniczych stanowiskach ministerjalnych zaczyna się istnia „wieża Babel“, klócenie się z sobą najrozmaitszych programów, nieraz jaskrawo sobie sprzecznych.

Kresy wschodnie, wskutek powyższych przyczyn, nie mają ciągłego, jednolitego zarządu, idącej w zgodnym szeregu administracji państwowej, lecz jakąś nieskoordynowaną, ciągnącą w różne strony wóz państwa w gromadę urzędników i działaczy partyjnych, pełniących służbę formalnie państwową, faktycznie — partyjną.

Doszliśmy pod tym względem do takiego absurdu, że nawet urzędnicy VI, VII i niższych klas są przyjmowani podług przynależności partyjnej i na swoich stanowiskach uprawiają politykę podług interesów i wymagań swojej partji. Każdy z ośmiu powiatów Wołynia jest rządzony indywidualnie, podług programu politycznego pana starosty. Urzędy ziemskie i odbudowa rządzą się programem Polskiego Stronnictwa Ludowego, na zasadzie tajnych okólników swoich szefów służbowych i partyjnych.

W rezultacie tego wszystkiego wytworzyło się ja kleś wstrętne, neloogiczne i, zdawałoby się, niemożliwe połączenie: radykalizmu społecznego z szowinizmem narodowym.

Skutek tej bezprogramowości naszych rządów na Wołyniu, ciągnącej się od października 1920 r., jest wprost okropny.

Kto tu przeżył pierwszy okres „kupacyjny“ od lata 1919 r. do lipca 1920 r. i kto patrzy i trzeźwo ocenia naszą obecną sytuację na Wołyniu, stosunek do nas rdzenną ludność ukraińskiej i mniejszości narodowych, zamieszkujących Wołyń, — ten musi przyznać, że straciliśmy cały urok, sympatję i szacunek, jakimi cieszyliśmy się przed lipcową ewakuacją w r. 1920-ym.

Nie pozyskaliśmy nikogo, straciliśmy wielu zwolenników!

Zamiast siły, logiki, sprawiedliwości i tolerancji, wykazaliśmy chwiejność, słabość, brak poczucia prawa i uśweczenie bezprawia, obok szyska i ukłóć narodowościowych. Niezdarność i brutalność w przeprowadzaniu najtrudniejszych zagadnień państwowych dochodzą nieraz do takiej wyżyny, jak gdyby chodziło o możliwie największe wyjaszkawienie pewnych konieczności państwowych, nie zaś — o ich stuszowanie.

Są to wszystko następstwa rządów bez programu politycznego, bez którego rządzić rozumnie i celowo nie sposób.“

Zapewne brak programu jest rzeczą fatalną, ale kto wie, czy wyraźny program, o ile by rząd się zdobył nań, wobec panujących prądów i nastrojów w społeczeństwie polskim, nie wywołałby skutków jeszcze bardziej fatalnych.

My tu w Wilnie doświadczyliśmy już, jak wygląda program „silnej ręki“, zastosowany przez pp. Tuwalskiego i Sienkiewicza. „Niezdarność i brutalność w przeprowadzaniu najtrudniejszych zagadnień państwowych“ — o czym wspomina „Głos Wołyński“ nie są wynikiem braku programu, lecz właśnie objawem programu, tylko niestety nieudolnego i krótko wzrocznego.

Zamęt.

Sytuację obecną w Polsce, jaka się wytworzyła po ustąpieniu gabinetu Ponikowskiego, z dużą dozą ironji i goryczy omawia artykuł wstępny „Robotnika“ z d. 8 b. m. p. t. „Zamęt“, który przedrukujemy w całości.

Rzeczą niezmiernie charakterystyczną dla dzisiejszych stosunków politycznych polskich jest stanowisko pisma socjalistycznego, nacechowane troską o interesy burżuazyjnej Rzeczypospolitej i autorytet jej burżuazyjnego rządu w przeciwstawieniu do bezwzględnej kampanji endeków, podporządkowujących bez żadnych skrępowań interes państwa celom partyjnym.

W chwili, gdy to piszemy, zamęt doszedł już do szczytu. A może się mylimy: u nas nigdy nie można być pewnym, że absurd doszedł już do punktu wierzchołkowego. Zawsze się znajdują nowe możliwości gmatwania gmatwaniny. Może właściwie zamęt dopiero się zaczyna. Bo dopiero zaczęły się kombinacje ministerjalne. Zapewne posypią się, jak z rogu obfitości. Odżyją wszystkie twory z poprzednich przesilen: gabinet koalicyjny bez skrajnej lewicy, koalicyjny bez skrajnej prawicy, koalicyjny ze skrajną prawicą, centropraw, centrolew, gabinet urzędniczy taki czy owaki i t. d. i t. d. A wszystko na gruncie Sejmu, w którym — wobec zbliżających się wyborów — mniej niż kiedykolwiek liczyć można na stałą większość dla jakiegokolwiek Rządu.

W imię czego, na jakiej podstawie ma się two-

żyć nowy Rząd? Pierwszą sprawą, którą ten Rząd musi rozstrzygnąć, jest sprawa wileńska. Rząd musi wypowiedzieć swoją stanowczą opinię o sprawie wileńskiej. Ale tu rzecz gmatwa się niesłychanie. Rząd p. Ponikowskiego upadł nie dlatego, żeby Sejm dał mu votum nieufności w sprawie „statutu”. Przeciwnie — Komisja Spraw Zagranicznych niezwykłą w tej komisji większością głosów oświadczyła się za formułą rządową. Endecy nie wnieśli votum separatum. Komisja więc milcząco uznała za zbyt czyste przenoszenie tej sprawy na plenum Sejmu. Gdyby to się stało, Sejm niewątpliwie zatwierdziłby stanowisko Rządu i Komisji Spraw Zagranicznych. Rząd p. Ponikowskiego upadł, z powodu intrygi ks. Lutosławskiego, której narzędziem stała się delegacja wileńska. Właściwie nawet w tej delegacji była większość za przyjęciem formułki rządowej: p. Brzostowski w liście do p. Skulskiego wyraźnie stwierdza, że był za podpisaniem aktu, historia z p. Kłyszewką jest znana. A więc nie już intryga, lecz wprost terror endeków nie dopuścił do podpisania aktu przez większość delegacji.

W imię więc czego tworzy się nowy Rząd? Czy będzie nadal popierał formułę „statutu”, czy też przyjmie rzekomo kompromisową, w rzeczywistości zaś zmierzającą do obalenia „statutu” formułę „poprawioną”? W pierwszym wypadku zaczną się da capo (na nowo) nieskończone i bezpłodne rokowania z t. zw. Zespołem stronnictw narodowych — o ile dalej będzie utrzymana ta niedorzeczna metoda. W drugim wypadku przypieczętuje się klęskę polityki polskiej na forum międzynarodowym, usankcjonuje terror endeki i głęboko podkopie autorytet Rzeczypospolitej wogóle, w szczególności zaś na kresach i zagranicą. Taki rezultat nie oznaczałby nic innego, jak to, że nie można prowadzić polityki międzynarodowej w kraju, gdzie lada intryga jakiejś klikki nacjonalistów kresowych, podbechtanych przez

ambitnego księdza, może uniemożliwić wszelki rozsądny krok polityczny. Przecież to endecy obalają swego człowieka, p. Skirmunta, za jego politykę w sprawie Wilna, liczącą się z koniecznościami polityki międzynarodowej.

Rzecz jasna: formuła w sprawie ziemi Wileńskiej musi być utrzymana. Kręactwo i zastrzeżenia, których cel widoczny jest na pierwszy rzut oka i co do których zresztą sami zastrzegający cynicznie wypowiadają swoje motywy — mogą przynieść tylko najgorsze skutki. Najprostszą byłoby rzeczą, gdyby część delegatów niechętnie sabotujących akt połączenia Wilna z Polską wyzwołała się z pod teroru endecji i przyłączyła swoje podpisy do podpisów lewicy. Wtedy byłaby większość za podpisaniem umowy — a rozwiązanie przesilenia gabinetowego byłoby znacznie ułatwione. Możliwa byłaby również inna forma, mianowicie, żeby Sejm Wileński uchwałą swoją położył kres niesłychanemu skandalowi, jakiego się dopuściła część jego delegatów.

Zło, które się już stało, nie da się w całości odrobić. „Liberum veto” pp. Lutosławskiego i Czerniewskiego już skompromitowało politykę polską. Baczmyż, aby zło nie wżarło się głębiej, nie rozszerzyło i nie utrwaliło. Trzeba z tem skończyć. Ta heca może nas zbyt drogo kosztować. Cały świat patrzy dziś ze zdumieniem, jak endecy wolą raczej podać w wątpliwość należenie Wilna do Polski, niż zgodzić się na „statut”, jak z suwerenności Państwa Polskiego w stosunku do Ziemi Wileńskiej — zrobili jakąś bezwstydną drwinę, jak pierwszym skutkiem przybycia delegacji Sejmu wileńskiego do Warszawy jest — targowanie się o Akt połączenia i obalenie Rządu Polskiego.

Co ci zwarzjowani jezuci endeccy wyprawiają z Rzeczpospolitą!

Treść numeru: Kompromitacja. — *Jadźwing*. Dominium Baltici maris. — *Erka*. Polska a Unja kościelna. — *Latovicus*. Personifikacje społeczne. — * * * Masonerja. — *Wł. T.* „Osteuropa - Institut in Breslau”. — *Licz.* Z mego notatnika. — Bez steru. — Zamęt — Odcinek: „Ze wspomnień doktora J. Titiusa”.

ANTYKWARJAT NAUKOWY

przy Księgarni Stowarz. Naucz. Polskiego (dawn. „Kultura“)

UL. WILEŃSKA 36.

Kupuje i sprzedaje

KSIĄŻKI, RĘKOPISY, RYCINY.

KSIĄŻKA

miesięcznik poświęcony
krytyce i bibliografii

Z DODATKIEM P. T.

PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY

Założony w 1901 r. przez księgarnię
E. WENDE i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł)

ZOSTAŁ WZNOWIONY
OD STYCZNIA 1922 r. NAKŁADEM S-ki Z OGR. ODP.

ZAKŁAD BIBLIOGRAFICZNY

POD REDAKCJĄ

J. MUSZKOWSKIEGO i M. RULIKOWSKIEGO

Adres Redakcji: Warszawa, Aleja Róż 14

Administracja: Dom Książki Polskiej S. A. Warszawa, Pl. Trzech Krzyży 8.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE KSIĘGARNIE